

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MAŁE, ROZZARZONE WĘGIELKI

Nash

Agenci FBI mogli uważać się za szczęściarzy – i to podwójnie. Po pierwsze, mój lewy sierpowy nie był już tak skuteczny jak przed postrzeleniem.

A po drugie, ostatnio niewiele mnie ruszało, a już na pewno nie tak, żebym wpadł w szal i zrobił coś głupiego.

– Rozumiemy, że ma pan własne powody, by znaleźć Duncan Hugo.

Agentka Sonal Idler siedziała za moim biurkiem wyprężona jak struna. Jej wzrok przeniósł się na płamę po kawie na mojej koszuli.

Była twardą, silną kobietą w męskim garniturze i sprawiała wrażenie, jakby procedury były jej chlebem powszednim, a nawet deserem. Siedzący koło niej zastępca szeryfa federalnego Nolan Graham, z wąsem, wyglądał jak człowiek zmuszony do czegoś, na co nie ma najmniejszej ochoty. Wyglądał też tak, jakby winił o to mnie.

Chciałem wykrzesać w sobie trochę złości. Chciałem poczuć coś innego niż ta wielka, wysysająca energię pustka, która mną zawładnęła, nieuchronna niczym przypływ. Nic takiego się jednak nie stało. Nadal byłem tylko ja i emocjonalna próżnia.

– Ale nie możemy się godzić na to, żeby pańscy chłopcy i dziewczęta pałętali się i bałaganili mi w śledztwie – mówiła dalej Idler.

Za szklanym przepierzeniem sierżant Grave Hopper sy-
pał pół kilo cukru do kawy i świdrował agentów federalnych
morderczym spojrzeniem. Za jego plecami przestronne biuro
tętniło codzienną energią typową dla małomiasteczkowej ko-
mendy.

Telefony dzwoniły. Klawiatury stukały. Policjanci na służbie
służyli społeczeństwu. A kawa robiła z siebie pośmiewisko.

Wszyscy żyli, oddychali pełną piersią. Wszyscy oprócz mnie.
Ja tylko stwarzałem pozory.

Skrzyżowałem ramiona na piersi, ignorując nagłe ukłucie
ból.

– Doceniam waszą kurtuazyjną wizytę, ale skąd to szczegól-
ne zainteresowanie mną? Nie jestem jedynym gliniarzem, któ-
rego postrzelono na służbie.

– Nie jest pan też jedynym człowiekiem na tej liście. – Gra-
ham zabrał głos po raz pierwszy.

Zacisnąłem zęby. Od tamtej listy zaczął się mój koszmar.

– Ale pana pierwszego sprawca wziął na cel – powiedziała
Idler. – Pańskie nazwisko znalazło się wśród innych funkcyj-
nariuszy organów ścigania i informatorów. Chodzi jednak o coś
większego niż pojedyncze postrzelenie. Pierwszy raz mamy
w rękach coś, za co moglibyśmy przyskrzynić Anthony’ego
Hugo.

Dopiero teraz wyczułem w jej głosie ślad emocji. Oznaczało
to, że dla agentki specjalnej Idler przyszpilenie bossa świata
przestępczego Anthony’ego Hugo było osobistą misją.

– W tej sprawie nie ma miejsca na najmniejszy błąd – mó-
wiła dalej. – Dlatego nikomu z miejscowych nie wolno brać jej
w swoje ręce. Nawet jeśli noszą odznaki. Wyższe dobro zawsze
wiąże się z pewnymi kosztami.

Potarłem dłonią podbródek i z zaskoczeniem poczułem na nim szczecinę, która już znacznie przerosła mój zwyczajowy cień zarostu.

Ostatnio golenie się nie zajmowało zbyt wysokiego miejsca na mojej liście priorytetów.

Idler sądziła, że prowadziłem śledztwo. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie знаła jednak mojego małego, brudnego sekretu. Nikt go nie znał. Na zewnątrz mogło się wydawać, że wracam do zdrowia. Co dzień wkładałem mundur i zjawiałem się na komendzie. Jednak w środku nic nie zostało. Nie było we mnie nawet pragnienia, żeby znaleźć winnego tego stanu.

– Czego więc oczekujecie od mojego wydziału, jeśli Duncan Hugo wróci tu, żeby podziurawić jeszcze kilku mieszkańców? Chcecie, żebyśmy odwrócili wzrok? – zaciągnąłem z południowym zaśpiewem.

Agenci wymienili się spojrzeniami.

– Oczekujemy, że będzie nas pan informował o lokalnych wydarzeniach, które mogą dotyczyć naszej sprawy – oświadczyła stanowczo Idler. – Mamy do dyspozycji więcej środków i sił niż pański wydział. I nie kierują nami żadne osobiste pobudki.

Poczułem, że w mojej wewnętrznej próżni coś drgnęło. „Zawstydzenie”.

Powinny mną kierować osobiste pobudki. Powinienem za polować na tego człowieka. Jeśli nie ze względu na siebie, to ze względu na Naomi i Waylay. Narzeczona mojego brata i jej siostrzenica stały się jego ofiarami w innym sensie – uprowadził je i groził im z powodu tej samej listy, która ściągnęła na mnie dwa pociski.

Jednak tamtej nocy, gdy leżałem w rowie, coś we mnie umarło, a o to, co zostało, nie warto za bardzo się starać.

– Szeryf Graham przez jakiś czas tu zostanie. Będzie miał wszystko na oku – wyjaśniała dalej Idler.

Wąsacz nie wyglądał na zadowolonego z tego faktu ani trochę bardziej niż ja.

– Ma się czemuś przyglądać szczególnie uważnie? – zapytałem.

– Biuro obejmie wszystkie osoby z listy programem ochrony, dopóki nie upewnimy się, że zagrożenie zostało wyeliminowane – wyjaśniła Idler.

„Chryste”. W całym cholernym mieście podniesie się wrzawa, kiedy mieszkańcy się dowiedzą, że nad naszymi głowami stoją agenci federalni, którzy tylko czekają, aż ktoś złamie prawo. Brakowało mi energii do uciszania wrzawy.

– Nie potrzebuję ochrony – powiedziałem. – Jeśli Duncan Hugo ma odrobinę oleju w głowie, to wie, że nie powinien się tu kręcić. Dawno zmienił rewir.

W każdym razie to sobie wmawiałem wczoraj w nocy, czekając na sen, który uparcie nie nadchodził.

– Z całym szacunkiem, komendancie, to właśnie pan obe-rwał. Ma pan szczęście, że nadal jest tu z nami – rzucił Graham i z zadowoloną z siebie miną poruszył wąsem.

– A co z narzeczoną mojego brata i jej siostrzenicą porwanymi przez Hugo? Czy dostaną ochronę?

– Nie mamy powodu sądzić, że Naomi i Waylay Witt może jeszcze cokolwiek grozić – odparła Idler.

Kłucie w moim barku przeszło w tępe łupanie podobne do tego, które czułem w głowie. Brakowało mi snu oraz cierpliwości i nie byłem pewien, czy będę w stanie dalej zachowywać się w cywilizowany sposób, jeśli nie uda mi się wyprosić z mojego biura tej pary upierdliwych typków.

Zdobywając się na tyle charakterystycznego dla południowców uroku osobistego, na ile mogłem sobie pozwolić w tej chwili, wstałem zza biurka.

– Rozumiem. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę powrócić do służby mieszkańcom.

Agenci poderwali się z krzeseł i wymieniliśmy zdawkowo uściski dłoni. Kiedy dotarli do drzwi, rzuciłem:

– Byłbym wdzięczny, gdybyście informowali mnie na bieżąco o rozwoju śledztwa. Wiecie, skoro ta sprawa dotyczy mnie osobiście i w ogóle.

– Oczywiście, będziemy się z panem dzielić tym, czego się dowiemy – zapewniła mnie Idler. – Oczekujemy też, że skontaktuje się pan z nami, kiedy przypomni sobie cokolwiek z tamtej strzelaniny.

– Tak, tak – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

Triada złożona z obrażeń fizycznych, utraty pamięci i uczucia otępienia sprawiła, że stałem się cieniem człowieka, którym byłem przedtem.

– Wkrótce znowu się spotkamy – powiedział Graham.

Zabrzmiało to jak groźba.

Czekałem, aż wyniosą się z mojej komendy, a potem zdjąłem z wieszaka swoją służbową kurtkę. Dziura w barku mocno dała o sobie znać, kiedy wsunąłem ramię w rękaw. Ta w klatce piersiowej zareagowała niewiele lepiej.

– Wszystko gra, szefie? – zapytał Grave, kiedy wyszedłem do głównego pomieszczenia.

W normalnych okolicznościach sierżant nalegałby, żebym zrelacjonował mu dokładnie, minuta po minucie, przebieg całej rozmowy, po czym jeszcze przez godzinę zrządziłby na tych, którzy chcą nam włączyć w kompetencje. Odkąd jednak mnie postrzelono i niewiele brakowało, żebym pożegnał się z życiem, wszyscy stawali na rżęsach, żeby obchodzić się ze mną jak z jajkiem.

Może więc zachowywanie pozorów wychodziło mi gorzej, niż sądziłem.

– Wszystko w porządku – odparłem ostrzej, niż chciałem.

– Wychodzisz? – dopytywał.

– Tak.

Pełna werwy nowa policjantka z patrolu poderwała się z krzesła jak na sprężynie.

– Jeśli ma pan ochotę na lunch, mogę wyskoczyć do Dino i coś przynieść, szefie – zaproponowała.

Tashi Bannerjee, mieszkająca od urodzenia w Knockemout, niedawno ukończyła akademię policyjną. Dzisiaj jej buty lśniły czystością, a ciemne włosy były upięte w ultraregulaminowy kok. Tymczasem cztery lata temu, jeszcze w szkole średniej, dostała mandat za podjechanie konno pod okienko dla kierowców w lokalnym fast foodzie. Większość pracowników naszego wydziału w młodości przekroczyła granicę prawa, dlatego tym większe znaczenie miał fakt, że zdecydowaliśmy się stać na jego straży, a nie je łamać.

– Sam mogę sobie przynieść cholerny lunch – warknąłem.

Policjantce na chwilę zrzędła mina, ale szybko się otrząsnęła, a ja poczułem się tak, jakbym kopnął szczeniaka. Kurde. Zaczynałem się zmieniać w mojego brata.

– Ale dziękuję za propozycję – dodałem nieco mniej kłótliwym tonem.

Świetnie. Teraz będę musiał wykonać jakiś miły gest. Znowu. Powinienem pokazać, jak bardzo żałuję, że zachowałem się jak palant, a nie miałem na to siły. W tym tygodniu już zdążyłem kupić pracownikom przeprosinową kawę, pączki i – po szczególnie żenującej scenie, którą zrobiłem im na temat temperatury, którą ustawiają na termostacie w biurze – czekoladki ze stacji benzynowej.

– Idę na fizjoterapię. Wrócę mniej więcej za godzinę.

Po tych słowach wyszedłem na korytarz i ruszyłem do wyjścia krokiem nie pozostawiającym wątpliwości, że mam ważne sprawy do załatwienia, by nikomu nie wpadło do głowy, żeby mnie zagadywać.

Wyłączyłem umysł i starałem się zwracać uwagę jedynie na to, co mam bezpośrednio przed sobą.

Kiedy wyszedłem przez szklane drzwi budynku administracji publicznej imienia Knoxa Morgana, z całą mocą uderzyła mnie jesień typowa dla północnej części stanu Wirginia. Słońce świeciło na niebie tak błękitnym, że aż bolały oczy. Szpaler drzew wzdłuż ulicy olśniewał feerią barw, bo liście porzuciły już zieleń i zastąpiły ją rdzawymi, żółtymi i pomarańczowymi odcieniami. Na wystawach sklepów w centrum miasteczka królowały dynie i bale słomy.

Uniosłem głowę, słysząc ryk motocykla i zobaczyłem jadącego niespiesznie Harveya Lithgowa. Na kasku miał diable rogi, a do tylnego siedzenia przytwierdził w pozycji siedzącej plastikowy szkielet.

Harvey pozdrowił mnie gestem, a potem dodał gazu i oddalił się, przekraczając co najmniej o dwadzieścia pięć kilometrów dopuszczalną prędkość. Jak zwykle testował granice prawa.

Jesień zawsze była moją ulubioną porą roku. Zwiastowała nadejście nowego. Ładne dziewczyny w miękkich swetrach. Sezon futbolowy. Powroty z wakacji. Ogniska i bourbon rozgrzewające ludzi podczas zimnych wieczorów.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłem.

Skłamałem, że idę na fizjoterapię, więc lepiej, żeby nie widziano mnie, jak jem lunch na mieście. Ruszyłem zatem w kierunku domu.

Zamierzałem przygotować sobie kanapkę, na którą nie miałem szczególnej ochoty, posiedzieć w samotności i znaleźć sposób na doczekanie końca dnia, nie robiąc z siebie buraka.

Musiałem ogarnąć swoje życie. Cholera, przecież nie tak trudno jest odwalać papierkową robotę i od czasu do czasu pokazać się publicznie jak jakiś bezużyteczny figurant – którym się stałem.

– Dzień dobry, komendancie.

Tallulah St. John, nasza lokalna mechaniczka i współwłaścicielka Café Rev, przywitała się, przechodząc tuż przede mną

przez ulicę w niedozwolonym miejscu. Nosiła długie, czarne warkocze związane na wysokości ramion. Miała na sobie roboczy kombinezon, w jednej ręce płócienną siatkę z zakupami, a w drugiej kawę, zapewne zaparzoną przez męża.

– Dzień dobry, Tashi.

Ulubionym zajęciem mieszkańców Knockemout było ignorowanie przepisów. Sam kierowałem się w życiu tym, co zostało napisane wyraźnie czarno na białym, podczas gdy reszta otaczających mnie ludzi żyła wyłącznie według różnych odcieni szarości. Założycielami mojego miasteczka byli buntownicy i bandyci, toteż przepisy i reguły do dzisiaj miały tu niewielkie zastosowanie. Poprzedni komendant lokalnej policji pozwalał mieszkańcom załatwiać sprawy po swojemu. Wypolerowaną odznaką policyjną świecił ludziom po oczach jedynie po to, żeby podkreślić swój status, a stanowisko ponad dwadzieścia lat wykorzystywał dla własnych korzyści.

Ja piastowałem ten urząd już niemal pięć lat. To miasto było moim domem, a jego mieszkańców traktowałem jak rodzinę.

Najwyraźniej nie udało mi się nauczyć ich poszanowania prawa. A teraz było jedynie kwestią czasu, by dowiedzieli się, że już nie jestem w stanie ich chronić.

Usłyszałem sygnał sms-a. Sięgnąłem po telefon lewą ręką i dopiero po chwili przypomniałem sobie, że już go nie noszę w kieszeni po tej stronie. Mamrocząc przekleństwa pod nosem, wyjąłem go prawą.

Knox: Powiedz tym łebkom z FBI, że mogą cmoknąć w dupę ciebie, mnie, a potem jeszcze, kurde, resztę miasta.

No oczywiście, mój brat już wiedział o agentach. Pewno dostał cynk już w chwili, gdy ich sedan pojawił się na głównej ulicy. Nie chciało mi się jednak o tym dyskutować. Nic mi się nie chciało.

Telefon zaczął dzwonić w mojej dłoni.

„Naomi”.

Jeszcze nie tak dawno temu paliłbym się jak cholera do odebrania tego połączenia. Czułem miętę do tej nowo przybyłej do naszego miasta kelnerki, którą prześladował pech. Ona jednak z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny zakochała się w moim gburowatym bracie. Zrezygnowałem z romantycznych uniesień – co okazało się łatwiejsze, niż można było przypuszczać – ale bawiła mnie irytacja Knoxa za każdym razem, kiedy jego wtedy jeszcze przyszła żona wpadała do mnie w odwiedziny.

Obecnie kojarzyło mi się to jedynie z obowiązkiem, którego wolałem uniknąć.

Przełączyłem rozmowę na pocztę głosową i skręciłem w ulicę, przy której stał mój dom.

– Dzień dobry, komendancie! – krzyknęła Neecey, wynosząc potykacz na chodnik przed pizzerią.

Dino's Pizza & Subs działała siedem dni w tygodniu, otwierano ją punktualnie o jedenastej. To znaczyło, że wytrzymałem w pracy jedynie cztery godziny, zanim zdecydowałem, że muszę się zwijać. Pobiłem nowy rekord.

– Dzień dobry, Neecey – odpowiedziałem bez entuzjazmu.

Chciałem jedynie wejść do domu i zamknąć za sobą drzwi. Odciąć się od świata i pogрузić w mroku. Nie chciałem co krok zatrzymywać się na pogawędkę.

– Słyszałam, że ten wąsaty agent trochę u nas zabawi. Myślisz, że spodoba mu się w motelu? – zapytała z łobuzerskim błyskiem w oku.

Ta kobieta – wiecznie żująca gumę plotkara w okularach na nosie – na każdej zmianie w pizzerii zagadywała pół miasta. Ale miała rację. Motel w Knockemout mógł być mokrym snem każdego inspektora sanitarnego. Nieprawidłowości wszelkiej maści – naruszenia każdego punktu regulaminu. Ktoś powinien wreszcie kupić to cholerstwo i je zburzyć.

– Przepraszam, Neecey. Muszę odebrać telefon – skłamałem i przyłożywszy komórkę do ucha, udawałem, że prowadzę rozmowę.

Kiedy znowu zniknęła za drzwiami pizzerii, schowałem telefon i pospiesznie pokonałem resztę drogi do drzwi swojego mieszkania.

Uczucie ulgi było krótkotrwałe. Drzwi na klatkę schodową – z rzeźbionego drewna i grubego szkła – były uchylone i podparte kartonowym pudłem, na którym ktoś nabazgrał spiczastym charakterem pisma: Akta.

Patrząc podejrzliwie na karton, wszedłem do środka.

– Cholerny sukinsyn! – Z góry dobiegł mnie kobiecy głos, który nie należał do mojej wiekowej sąsiadki.

Uniosłem wzrok akurat w chwili, gdy modny czarny plecak stoczył się po schodach do mnie niczym designerska kula pustynnego zielska. Mój wzrok przykuła para długich, smukłych nóg, widoczna w połowie ciągu schodów.

Nóg w eleganckich legginsach w kolorze mchu. Widok stawał się coraz lepszy. Mechaty szary sweterek był tak krótki, że dało się zobaczyć gładką, opaloną skórę opinającą naprężone mięśnie, a jednocześnie podkreślał subtelnie krągłości. Ale najbardziej przyciągała uwagę twarz. Godne pozazdroszczenia kości policzkowe. Duże, ciemne oczy. Pełne usta wydęte w grymasie rozdrażnienia.

Jej włosy – bardzo ciemne, niemal czarne – były ścięte dość krótko, postrzępione i wyglądały tak, jakby ktoś dopiero co zmierzwiał je palcami. Moje palce odruchowo się wyprostowały.

Angelina Solavita – lepiej znana jako Lina albo eksdziewczyna mojego brata z czasów, które zdają się należeć do innego życia – była kobietą, na której dało się z przyjemnością zawiesić oko. I znajdowała się na klatce schodowej mojego domu.

To nie mogło być nic dobrego.

Pochyliłem się i podniosłem plecak, który już dotyczył się do moich stóp.

– Przepraszam, że oberwałeś moim bagażem! – krzyknęła do mnie, taszcząc wielką walizę na kółkach po ostatnich kilku stopniach.

Nie mogłem narzekać na widoki, ale miałem poważne wątpliwości co do tego, czy uda mi się przetrwać towarzyską pogawędkę.

Na pierwszym piętrze znajdowały się trzy mieszkania – moje, pani Tweedy i jeszcze jedno tuż obok mojego, obecnie puste.

Doświadczałem wystarczającego urwania głowy, mieszkając drzwiami w drzwiach ze starszą wdową, która nie miała wielkiego poszanowania dla prywatności i przestrzeni osobistej. Nie uśmiechało mi się jeszcze więcej czynników zakłócających spokój w domu. Zwłaszcza jeśli czynniki te wyglądały jak Lina.

– Wprowadzasz się?! – krzyknąłem, kiedy znowu pojawiła się u szczytu schodów.

Pytanie mnie samemu wydawało się wymuszone, słyszałem napięcie w swoim głosie.

Lina posłała mi seksowny półuśmieszek.

– Tak. Co zjemy na kolację?

Patrzyłem, jak zbiegła po schodach – szybko i z gracją.

– Myślę, że sama ugotowałabyś coś lepszego niż to, co mógłbym ci zaproponować.

Nie byłem na zakupach od... Okej, nawet nie pamiętałem, kiedy ostatni raz byłem w Grover's Groceries po produkty na obiad. Kiedy przypominało mi się, że trzeba coś zjeść, zdawałem się na żarcie na wynos.

Lina zatrzymała się na ostatnim stopniu, stanęła twarzą w twarz ze mną i powoli zmierzyła mnie wzrokiem. Jej półuśmieszek zmienił się w promienny uśmiech.

– Nie umniejszaj swojego potencjału, mistrzu.

Pierwszy raz nazwała mnie tak kilka tygodni temu, porządkując bałagan, w który zmieniały się moje szwy po tym, jak uratowałem tyłek bratu. Kiedy to robiła, powinienem myśleć o lawinie papierkowej roboty, która na mnie spadnie w związku z uprowadzeniem i wynikłą strzelaniną. Tymczasem siedziałem pod ścianą i pozwalałem, żeby spokojne, kompetentne ruchy rąk Liny oraz jej czysty, świeży zapach rozpraszały moje myśli.

– Czy ty ze mną flirtujesz? – Nie chciałem tego chlapnąć na głos, ale trzymałem się jeszcze jako tako jedynie ostatnim wysiłkiem woli.

Przynajmniej nie powiedziałem, że podoba mi się zapach jej proszku do prania.

Lina uniosła brew.

– Przecież jesteś moim przystojnym nowym sąsiadem, szefem policji i bratem mojego chłopaka z czasów college'u. – Pochyliła się do mnie o kilka centymetrów, a ja w żołądku poczułem coś ciepłego. Chciałem przedłużyć to uczucie, przytrzymać je w dłoniach, dopóki nie roztopi lodu, który skuł krew w moich żyłach. – Ja wręcz uwielbiam złe pomysły. A ty?

Jej uśmiech nagle zaczął wyglądać jak zwiastun niebezpieczeństwa.

Jeszcze jakiś czas temu odpaliłbym w tej sytuacji całą moc uroku osobistego. Kto nie lubi poflirtować? Przyjemnie jest poczuć odwzajemniony pociąg. Wtedy byłem jednak innym człowiekiem.

Wyciągnąłem rękę, w której trzymałem za pasek jej plecak. Palce Liny oplótły się dokoła moich palców, kiedy odbierała go ode mnie. Nasze spojrzenia się skrzyżowały i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Pełgające ciepło eksplodowało we mnie mnóstwem maleńkich iskier żaru – i to niemal wystarczyło, żebym przypomniał sobie, czym są emocje.

Niemal.

Lina przyglądała mi się z uwagą. Jej brązowe oczy w odcieniu whisky czytały mnie, jakbym był otwartą księgą.

Wysunąłem palce z jej uścisku.

– Przypomnij mi... czym się zajmujesz? – zapytałem.

Pamiętałem, że kiedyś wspomniała o tym mimochodem. Powiedziała, że to nudy, i szybko zmieniła temat. Widziałem jednak, że jej oczom niewiele mogło umknąć, i interesowało mnie, co to za praca, w której można ot tak zaszyć się na kilka tygodni na wirginijskim odludziu.

– Ubezpieczeniami – odpowiedziała, zarzucając plecak na ramię.

Nadal nie ruszyliśmy się z miejsca. Ja dlatego, że te iskierki żaru były jedyną przyjemnością, która spotkała mnie od wielu tygodni.

– Jakiego rodzaju?

– A co? Rozglądasz się za nową polisą? – zapytała nieco wyzywająco i zaczęła odsuwać się ode mnie.

Chciałem jednak, żeby została przy mnie. Chciałem, żeby rozdmuchała ten tłący się we mnie żar, żeby się przekonać, czy jest we mnie jeszcze coś, co może podsycić ogień.

– Chcesz, żebym ci z tym pomógł? – zaproponowałem, wsuwając kciuk w uchwyt kartonu z aktami, przytrzymującego drzwi.

Uśmiech Liny zgasł.

– Sama się tym zajmę – powiedziała rzeczowo i zrobiła krok w bok, żeby mnie wyminąć.

Zastąpiłem jej drogę.

– Pani Tweedy wygarbowałaby mi skórę, gdyby się dowiedziała, że pozwoliłem ci samej nosić te pudła po schodach – nalegałem.

– Pani Tweedy?

Wskazałem palcem do góry.

– Mieszkanie 2C. Poszła na spotkanie swojej grupy kulturystek. Ale na pewno wkrótce ją poznasz. Sama się o to postara.

– Jeśli nie ma jej w domu, to się nie dowie, że nie szkodziłeś swoim świeżym ranom, tachając z oślim uporem ciężkie pudła – zauważyła Lina. – Jak się goją?

– W porządku – skłamałem.

Mruknęła z powątpiewaniem i znowu podejrzliwie uniosła jedną brew.

– Naprawdę?

Nie uwierzyła. Ale tak bardzo potrzebowałem tych małych przebłysków emocji, byłem taki zdesperowany, że nie przejąłem się tym za bardzo.

– Za parę dni będę zdrow jak ryba.

Rozległ się cichy brzęczyk i zobaczyłem, że przez twarz Liny przemknął cień irytacji, kiedy sięgnęła po telefon do ukrytej kieszonki w ściągaczu legginsów. Przez chwilę mignęło mi przed oczami słowo „Mama” na wyświetlaczu. Lina odrzuciła połączenie. Wyglądało na to, że oboje unikamy kontaktów z rodziną.

Skorzystałem z chwili jej nieuwagi, żeby podnieść pudło – demonstracyjnie zrobiłem to lewą ręką.

W barku czułem bolesne pulsowanie, kropla zimnego potu spłynęła mi po plecach. Ale kiedy nasze oczy znowu się spotkały, wrócił do mnie żar tamtych drobnych węgielków.

Nie wiedziałem, skąd się biorą – wystarczyło mi, że ich potrzebowałem.

– Widzę, że słynny upór Morganów udziela ci się tak samo jak bratu – zauważyła Lina, wkładając telefon z powrotem do kieszonki.

Jeszcze raz zmierzyła mnie wzrokiem, a potem odwróciła się i ruszyła na piętro.

– A skoro mowa o Knoksie... – zacząłem, starając się, żeby mój głos brzmiał naturalnie. – Domyślam się, że będziesz mieszkać pod 2B, tak?

Mój brat był właścicielem tego budynku, który mieścił także bar oraz salon fryzjerski znajdujące się na parterze.

– Teraz tak. Przedtem mieszkalam w motelu – powiedziała.

Zmówiłem modlitwę dziękczynną za to, że na górę szła wolniej niż na dół.

– Trudno uwierzyć, że tak długo tam wytrzymałaś.

– Dzisiaj rano widziałam pojedynek szczura z karaluchem, który dorównywał mu wielkością. To była kropla, która przelała czarę – powiedziała.

– Mogłaś się zatrzymać u Knoxa i Naomi – rzuciłem szybko, żeby nie dać po sobie poznać zadyszki.

Straciłem formę, a kształtna pupa Liny pod tymi legginsami nie pomagała mojemu krążeniu.

– Lubię mieć własny kąt – odparła.

Dotarliśmy do końca schodów, wszedłem z nią przez otwarte drzwi sąsiadujące z moimi, a po plecach spływały mi wijące się strużki lodowatego potu. Naprawdę powinienem wrócić na siłownię. Jeśli już zamierzałem być żywym trupem, to przynajmniej takim, który jest w stanie wejść po schodach, prowadząc normalną rozmowę.

W mieszkaniu Lina upuściła plecak na podłogę, a potem odwróciła się, żeby wziąć ode mnie pudło.

Nasze palce znowu się dotknęły.

I znów coś poczułem. Nie tylko ból w barku i pustkę w sercu.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała Lina, biorąc ode mnie karton.

– Jeśli czegoś będzie ci trzeba, to jestem obok.

Jej usta wygięły się lekko w łuk.

– Dobrze wiedzieć. No to do zobaczenia, mistrzu.

Stałem przed zamkniętymi drzwiami, jakby stopy wrosły mi w ziemię, i czekałem, dopóki nie zgasł ostatni węgielek żaru.